



Nina Andrycz

Wielka dama polskiej sceny dramatycznej, Nina Andrycz, wzrusza i bawi teatralną widownię od ponad czterdziestu lat. Traktuje swój zawód niezwykle poważnie i z nie mniejszą atencją publiczność.

— Inaczej zresztą nie można — mówi. — Ktokolwiek postępuje wbrew tym zasadom jest nie w porządku. Dla mnie każdy występ, to swoistego rodzaju przeżycie. Ja zawsze mam tremę i duszę mam targaną niepokojem, czy nie zawiodę zaufania tych, którzy przyszli mnie zobaczyć.

● Czy to prawda, że urodziła się Pani w Brześciu?

— Tak. Czterdzieści kilometrów od Białej Podlaskiej, prozę sobie wyobrazić...

● Ale studia aktorskie odbywała Pani w Warszawie?

— W szkole dramatycznej kierowanej przez Żelwerowicza, lecz to już dawne dzieje. W finale studiów aktorskich miałam swój popisowy egzamin w Teatrze Polskim...

● ...s którym związała się Pani na stałe.

— Istotnie. Dochowałam mu wierności. Czemuś w życiu trzeba być wierną.

● W okresie rozwoju Pani talentu wybuchła wojna. Potem przyszły czasy okupacji. Czym wówczas zajmowali się aktorzy?

— Jeśli o mnie chodzi, to pracowałam jako kelnerka w kawiarni „U aktorek”. Muszę wyznać, że nie błysnęłam w tej profesji. Często niestety, rozrzucałam kotlety na podłogę i na garnitury. Nie miałam zresztą ambicji w tym zawodzie.

● A po wyzwoleniu z janklami uszuciami wracała Pani do pracy w teatrze?

— Dziwnym zrządzeniem losu Teatr Polski mało ucierpiał. Był tylko trochę uszkodzony przez okupanta. Dostyd szybko, przy pomocy państwa został doprowadzony do porządku. Pierwsze próby odbywały się w pustym jeszcze mieście. Mało było ludzi.

Heroiczne początki w powojennej stolicy wspominam z dużym wzruszeniem. Myśmy nie byli pewni, czy ludzie nas pamiętają, czy nas jeszcze lubią. Często rozmyślałam, co ja mogę z siebie wykrzesać po ciężkiej okupacji, zastanawiałam się, że może już nie jestem taka jaką byłam, może gorsza, może mnie nie zaakceptuje publiczność. Obawy okazały się płonne.

● Siedząc Pani drogie twórczo można zauważyć ciekawą prawidłowość: po rolach wielkich dam, królowych — nagle nieoczekiwanie Nina Andrycz zagrała Dulską...

— Przecież nie można do końca życia być amantką. A w związku z tym przedstawieniem opowiem pewne przeżycie. Krzysztof Pankiewicz zaprojektował scenografię do „Dulskiej”, tak, że na scenie — wszędzie: na meblach, na podłodze, pod sufitem, nawet na widowni leżą lub wiszą stosy najprzeróżniejszych kostiumów. Nad sceną góruje gigantyczne łożo. W czasie któregoś kolejnego przedstawienia „budzę” się, otwieram oczy, spoglądam w górę i... wśród wiszących nade mną szat, dostrzegam nęgi dykuspiania, teraz okropnie zniszczoną suknię, w której grałam lady Makbet...

● A jednak te wielkie role w repertuarze klasycznym publiczność zapamiętała najbardziej...

— Szczęśliwie, wie pan. Od początku wokół mojej postaci powstała swoista legenda. I wcale nie dlatego, że poślubiłam byłego premiera Rzeczypospolitej. Tylko po prostu od momentu, gdy zagrałam

Sotange — swoją pierwszą, sławną rolę w najlepszej sztuce Jarostawa Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”. Ta legenda, to było coś zobowiązującego. Stałam się aktorką, której najmniejszego potknięcia nigdy by nikt nie wybaczył.

● Czy ma Pani jakieś skonkretyzowane najbliższe plany?

— Otrzymałam propozycję zagrania w „Szewcach” Witkacego i bardzo się nad tym zastanawiam. Radzę się przyjaciół, zbieram opinie. Przeprowadzam taki wewnętrzny plebiscyt — ile głosów padnie na „za”, a ile na „nie”. Bo „Szewcy”, to sztuka dość ograna, przynajmniej w Warszawie, ale ciekawa, frajdająca aktora. Przygotowuję także coś dla telewizji, ale nie zdradzę sekretu, żeby nie zapeszyć.

● Nie należy więc Pani do przeciwników telewizji?

— Skądże. Telewizja, to prawdziwa potęga: zdobywa milionową widownię, która może nigdy nie trafiłaby do teatru, powiedzmy na Słowackiego, aby posłuchać tej najpiękniejszej poezji polskiej. Telewizja jest poza tym łatwiejsza, prostsza w odbiorze i ja sobie to cenię w jakiś sposób.

● Czy wyjeżdżała Pani z teatrem za granicę?

— Tak, byłam na gościnnych występach w Związku Radzieckim. Z dużym powodzeniem graliśmy „Lalkę” według B. Prusa (wcieliłam się w postać Izabeli Łękiej) i „Cyda” P. Corneille'a (rola Szimeny). Występowaliśmy w Moskwie, Leningradzie i Kijowie. Moskiewska publiczność była najgorętsza.

● Dostrzega Pani jakąś różnicę między tzw. młodym pokoleniem aktorów a tym, które Pani reprezentuje?

— Tak. Oni są mniej żarliwi niż myśmy byli. Częściej spoglądają na zegarek. Wciąż się spieszą. Zmieniają się czasy po prostu. Kiedyś nie było tylu konkurencyjnych instytucji. Poza tym proszę uwzględnić, że oprócz teatrów zawodowych, są one kabarety, w których także pracujemy.

Ja też mam taki „swoój” teatr. Nazywa się Stara Prochownia. Bardzo lubię w nim występować i serdecznie tam pana zapraszam.

Dziękuję za rozmowę —
JANUSZ ŚWIADER